

## ANALIZY

Zdzisław M. Rurarz

# Stan narodu i państwa polskiego

(2)

Jednym z czołowych celów polityki zagranicznej Polski, akceptowanym przez wszystkie liczące się siły polityczne, jest członkostwo w Unii Europejskiej.

Unia Europejska jednakże, to "klub krajów bogatych", w którym, jak mówi porzekadło, szlachectwo zobowiązuje. Unia nakłada bowiem na każdy kraj członkowski określone "rygory klubowe" i biedniejszy członek klubu, o ile nie podana jest mu pomocna ręka jego bogatszych członków, rygorów tych nie wytrzymuje.

Oczywiście, Unia ma w swoich szeregach również i kraje biedne, jak na przykład Grecję i Portugalię, którym udziela znacznej pomocy, ale są to kraje małe, a ponadto ich dochód narodowy na głowę mieszkańca jest i tak dwukrotnie wyższy od polskiego.

W każdym razie, zgodnie z wynikami badań "Eurostat", instytutu Unii Europejskiej, polski dochód narodowy na głowę mieszkańca stanowił w 1995 r. tylko 34,3 procent średniego jej poziomu, będąc 5-krotnie niższy od luksemburskiego, najwyższego w ugrupowaniu. Poniżej średniej znalazły się wspomniane już Grecja i Portugalia, jak też Hiszpania, Finlandia oraz Anglia, choć te dwa ostatnie kraje są niemal na poziomie średniej.

Polskę, eksperci Unii uznali za "kraj

W tej sytuacji, przy 6-procentowym tempie rozwoju, Polska potrzebowałaby ok. 26 lat na zrównanie się ze średnią Unii Europejskiej.

Jeśli natomiast Polska chciałaby pokonać istniejącą lukę w ciągu 10, lub 15 lat, ciągle zakładając tempo rozwoju Unii tylko na 2 procent rocznie, to w pierwszym przypadku musiałoby rozwijać się w tempie niemal 14 procent rocznie, podczas gdy w drugim przypadku w tempie ok. 10 procent rocznie.

W rzeczywistości, niestety, sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana.

Spośród krajów Unii Europejskiej bowiem, Polska graniczy bezpośrednio tylko z Niemcami, a przez morze z Danią i Szwecją, krajami o produkcji na głowę mieszkańca prawie 5-krotnie wyższej. W konsekwencji tego, ze względu na oddziaływanie tzw. efektów demonstracyjnych, Polska musiałaby dochodzić nie tak do średniej Unii, ale raczej do średniej wspomnianych trzech krajów, czyli musiałaby rozwijać się w tempie znacznie szybszym od wspomnianego powyżej.

Rzecz jasna, sytuacja uległaby komplikacjom, gdyby Unia miała szybsze od 2-procentowego tempa rozwoju, podczas gdy Polska nie byłaby w stanie utrzymać obecnego

Prawdę mówiąc, wizji takich nikt nie ma, jeśli nie liczyć jakichś demagogicznych haseł. Jeszcze z biedą wizję taką ma rządząca koalicja SLD-PSL, choćby z tytułu posiadanej władzy, ale i ona jest mglista.

A tymczasem skala wyzwań, przed którymi stanął kraj, jest olbrzymia, a Polacy nie mogą sobie pozwolić na luksus nie spoglądania prawdzie w oczy oraz na brak jedności w stawianiu im czoła.

Wszystkie siły polityczne, od lewicy do prawicy, z centrum włącznie, muszą więc znaleźć wspólny język i razem mobilizować naród do olbrzymiego i długotrwałego wysiłku. Władza z kolei, jakaś "koalicja sił patriotycznych", musi umieć ukierunkować ten wysiłek w sposób maksymalnie korzystny dla dobra kraju.

Inaczej, Polska nigdy nie awansuje do grona krajów rozwiniętych.

Niestety, nic nie wskazuje na to, że siły polityczne w Polsce dostrzegają dramat sytuacji i miały wolę zgodnego pchania kraju do przodu. A przecież od woli do czynu droga też jest jeszcze daleka.

Najgorsze jednak, że nikt nie chce, jeśli tylko sam zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, powiedzieć ludziom otwarcie jak źle mają się polskie sprawy.

sumpcja zmniejszy się o 20 mld dolarów (chyba, że sięgnie się do rezerw, albo do zewnętrznych źródeł finansowania).

Tego rodzaju sytuacja, rzecz jasna, wywoła niezadowolenie, jeśli decyzja przyspieszenia tempa rozwoju nie będzie mieć szerokiego poparcia społecznego.

Na tym nie koniec. W inwestycjach bardzo ważna jest ich efektywność. W przypadku współczynnika efektywności 4:1, gdzie 4 dolary nakładów inwestycyjnych dają w ciągu roku przyrost produkcji o jeden dolar, przyrost polskiego PKB wyniosłoby, przy 20-procentowej stopie inwestycyjnej, 10 mld dolarów, czyli roczne tempo rozwoju wyniosłoby wtedy 5 procent. Przy współczynniku zaś 8:1 lub 2:1, tempo rozwoju wyniosłoby wtedy 2,5 procenta i 10 procent odpowiednio.

Jasne więc, że zwiększenie nakładów inwestycyjnych, jak też zapewnienie im wysokiej efektywności, jest najpewniejszą polityką przyspieszenia tempa rozwoju kraju. Podnosząc bowiem stopę inwestycji w Polsce z 20 do 30 procent, jak też manewrując pomiędzy wspomnianymi współczynnikami ich efektywności, tempo rozwoju będzie się wtedy wahać w granicach od 3,75 do 15 procent rocznie. Nie jest więc obojętne, skoro już gospodarka podejmuje zwiększony wysiłek

dochód narodowy na głowę mieszkańca jest i tak dwukrotnie wyższy od polskiego.

W każdym razie, zgodnie z wynikami badań "Eurostat", instytutu Unii Europejskiej, polski dochód narodowy na głowę mieszkańca stanowił w 1995 r. tylko 34,3 procent średniego jej poziomu, będąc 5-krotnie niższy od luksemburskiego, najwyższego w ugrupowaniu. Poniżej średniej znalazły się wspomniane już Grecja i Portugalia, jak też Hiszpania, Finlandia oraz Anglia, choć te dwa ostatnie kraje są niemal na poziomie średniej.

Polskę, eksperci Unii uznali za "kraj ubogi". Uboższy w Europie Środkowej i Wschodniej od Słowenii, Republiki Czeskiej, Słowacji i Węgier.

Tego rodzaju wynik badań, pomijając już inne względy, nie pomoże członkostwu Polski w Unii Europejskiej, a jeśli już, to zapewne nie w skali, na którą liczy.

Innymi słowy, żeby Polska mogła dostać się do "unijnego klubu" i potem utrzymać się w nim - musi dokonać olbrzymiego skoku rozwojowego w ciągu najbliższych 10-15 lat.

Jak wielki musiałby być ten skok?

Otóż, tłumacząc go na średnioroczne tempo przyrostu polskiego PKB, produktu krajowego brutto, musiałoby ono ulec znacznemu przyspieszeniu w stosunku do obecnego tempa rozwoju, które w ostatnich trzech latach waha się w granicach 6 procent rocznie.

Jak znaczne musiałoby być przyspieszenie?

Ano, szacując wysokość PKB na głowę mieszkańca Polski na 5 tysięcy dolarów, przy średniej Unii Europejskiej rzędu 15 tysięcy dolarów, luka rozwojowa do pokonania jest znaczna. Przy założeniu, że unijny PKB zostanie na obecnym poziomie i liczba ludności po obu stronach nie zwiększy się, obecne 6-procentowe tempo polskiego rozwoju potrzebowałoby ok. 20 lat na zamknięcie istniejącej luki.

Unia Europejska jednakże, należy zakładać, w miejscu stać nie będzie. Zakładając jej rozwój tylko na 2 procent rocznie, średni poziom PKB na głowę mieszkańca wzrósłby wtedy w ciągu 10 lat do nieco ponad 18 tysięcy dolarów, w ciągu 15 lat do ponad 20 tysięcy dolarów, a w ciągu 20 lat już do ponad 22 tysięcy dolarów.

z Niemcami, a przez morze z Danią i Szwecją, krajami o produkcji na głowę mieszkańca prawie 5-krotnie wyższej. W konsekwencji tego, że względu na oddziaływanie tzw. efektów demonstracyjnych, Polska musiałaby dochodzić nie tak do średniej Unii, ale raczej do średniej wspomnianych trzech krajów, czyli musiałaby rozwijać się w tempie znacznie szybszym od wspomnianego powyżej.

Rzecz jasna, sytuacja ulegałaby komplikacjom, gdyby Unia miała szybsze od 2-procentowego tempa rozwoju, podczas gdy Polska nie byłaby w stanie utrzymać obecnego tempa.

Tak czy inaczej, Polska, dla sprostania "unijnemu wyzwaniu", musiałaby w najbliższych 10-15 latach więcej niż podwoić, albo prawie podwoić swoje tempo rozwoju.

Czy Polskę stać na taki wysiłek?

W mijającym obecnie stuleciu, 10-procentowe tempo rozwoju, choć przez okresy względnie krótkie, udawało się czasem osiągnąć w PRL, zawsze jednak ogromnym kosztem, nie mówiąc już o tym, że nie był to często najbardziej celowy rozwój.

W świecie z kolei, 10-procentowe tempo rozwoju, w dodatku utrzymywane przez długi okres, nie jest rzadkością.

Chiny na przykład, poczynając od 1979 r., mają średnioroczne tempo rozwoju nieco ponad 10-procentowe, a w przypadku produkcji przemysłowej nawet 15-procentowe.

Powracając jednak do Polski, to nie tylko żadne prognozy nie zakładają przyspieszenia obecnego tempa rozwoju, ale podnoszą się głosy, że utrzymanie nawet obecnego jest niemożliwe.

Nie ma też żadnej pewności, że wejście Polski do Unii Europejskiej przyspieszy jej rozwój, podobnie jak nie ma pewności, iż sprawdzą się nadzieje na masowy napływ kapitału i technologii z Zachodu, które go przyspieszą. A może być przecież i tak, że kapitał obcy nie tylko nie wesprze wysiłków rozwojowych Polski, ale jeszcze je podetnie.

Dlatego też bezpieczniej jest liczyć na własne siły.

Które jednakże z partii politycznych i ruchów masowych w Polsce mają skonkretyzowaną i długofalową wizję przyspieszenia tempa rozwoju, przy tym głównie własnym wysiłkiem?

Wobec tego, jak należy rozumieć wysiłek w sposób maksymalnie korzystny dla dobra kraju.

Inaczej, Polska nigdy nie awansuje do grona krajów rozwiniętych.

Niestety, nic nie wskazuje na to, że siły polityczne w Polsce dostrzegają dramat sytuacji i miały wolę zgodnego pchania kraju do przodu. A przecież od woli do czynu droga też jest jeszcze daleka.

Najgorzej jednak, że nikt nie chce, jeśli tylko sam zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, powiedzieć ludziom otwarcie jak źle mają się polskie sprawy.

Zgoda, mówienie prawdy nigdzie w świecie nie przysparza sympatii, ale w Polsce zapotrzebowanie na mity jest, niestety, szczególne i końca tego nie widać...

Zresztą, w konkretnych warunkach polskich jest to nawet zrozumiałe. Ludzie, ubodzy i po dziesiątkach lat wyrzeczeń, chcą szybkiej poprawy bytu, choćby na kredyt, no i możliwie najmniejszym wysiłkiem. Każdemu więc, kto coś takiego będzie obiecywał, chętnie nadstawia ucha.

Prawda tymczasem jest taka, że w najbliższych latach, gdyby nawet tempo rozwoju uległo przyspieszeniu, to dopóki nie stanie ono na solidnych podstawach, Polacy nie tylko nie mogą liczyć na popuszczenie pasa, ale muszą go jeszcze zaciskać przez jakiś czas. Można co najwyżej debatować na ile dziurek i na jak długo, ale przed taką koniecznością ucieczki nie ma.

Tempo rozwoju gospodarczego bowiem, mówiąc najkrócej, to przede wszystkim rezultat wysokości nakładów inwestycyjnych i ich efektywność.

Inwestycje jednakże, to część akumulowana produktu społecznego. Im część ta jest wyższa, tym mniejsza jest część produktu spożywanego.

W Polsce, szacując dla uproszczenia PKB na poziomie 200 mld dolarów, na inwestycje wydaje się obecnie jego piątą część, czyli ok. 40 mld dolarów.

Podwyższenie zatem stopy inwestycji dla uzyskania szybszego rozwoju spowoduje przejściowy spadek konsumpcji, a więc wystąpi zjawisko zaciskania pasa.

W przypadku raptownego podniesienia stopy inwestycji, na przykład do 30 procent PKB, czyli do sumy 60 mld dolarów, kon-

ty tempa rozwoju, jak i tempo rozwoju wyniosłoby wtedy 2,5 procenta i 10 procent odpowiednio.

Jasne więc, że zwiększenie nakładów inwestycyjnych, jak też zapewnienie im wysokiej efektywności, jest najpewniejszą polityką przyspieszenia tempa rozwoju kraju. Podnosząc bowiem stopę inwestycji w Polsce z 20 do 30 procent, jak też manewrując pomiędzy wspomnianymi współczynnikami ich efektywności, tempo rozwoju będzie się wtedy wahać w granicach od 3,75 do 15 procent rocznie. Nie jest więc obojętne, skoro już gospodarka podejmuje zwiększony wysiłek inwestycyjny, jaki będzie jego efekt w postaci tempa rozwoju.

Kto jednakże w Polsce ma decydować o wysokości stopy inwestycji, ich celowym ukierunkowaniu i sprawnym przeprowadzeniu?

W PRL, w oparciu o kryteria ideologiczno-polityczne i strategiczne, o inwestycjach decydowała władza centralna, ale teraz Polska uważa się przecież za gospodarkę kierowaną "niewidzialną ręką rynku".

W rzeczywistości, z "niewidzialną ręką rynku" sprawa nie jest ani w świecie, ani tym bardziej w Polsce, aż tak oczywista.

W świecie, na 150 przebadanych krajów, 72 uważa się za "gospodarkę rynkową", choć tylko dziesięć, w tym Szwajcarię, USA, Anglię i Holandię, choć i tam interwencjonizm państwa jest znaczny, za bezdyskusyjnie należące do tej kategorii. Pojęcie klasyfikuje się tutaj dopiero na 85. miejscu.

Stąd też od jej władz państwowych, przede wszystkim, należy wymagać energiczniejszych i bardziej przemyślanych działań na polu gospodarczym.

Władze jednakże, choć teraz jest lepiej niż za rządów solidarnościowych, nie panują nad gospodarką, ani też nie mają jasnej wizji działań długofalowych. W rezultacie nie bardzo wiedzą gdzie kierować nakłady inwestycyjne dla maksymalnego przyspieszenia rozwoju.

Tak więc, nie mając rozwiązane problemu wzajemnych relacji pomiędzy inwestycjami i konsumpcją, jak też nie mając wsparcia wszystkich liczących się partii i ruchów masowych, a nade wszystko społeczeństwa, władze państwowe działają od przypadku do przypadku. W rezultacie tego zaprzepaszczają

## ANALIZY

ją coraz bardziej szanse przyjęcia długofalowej polityki przyspieszenia tempa rozwoju gospodarczego kraju i konsekwentnego jej realizowania.

Co gorsza, rządząca koalicja SLD-PSL, zamiast mówienia ludziom prawdy, sięga ostatnio do "kielbasy wyborczej", popuszczając społeczeństwu pasa na kredyt, co jest polityką zabójczą dla długofalowego rozwoju gospodarki polskiej. Opozycja z kolei karmi ludzi mrzonkami o "cudownych wytrychach", którymi można otworzyć wrota do dobrobytowego raj.

A szkoda, gdyż gospodarka polska ma bodajże ostatnią już szansę na awans, która w razie jej zaprzepaszczenia zepchnie ją na margines gospodarki światowej.

Nie należy przecież zapominać, że mijające stulecie było stratą już nie jednej szansy na awans do grona krajów gospodarczo rozwiniętych. Niezły rozwój ziem polskich pod zaborami przerwała I wojna światowa, przynosząc im ogromne zniszczenia. Złą sytuację po odzyskaniu niepodległości, pogorszyła następnie wojna polsko-ukraińska, powstanie śląskie i wielkopolskie, a nade wszystko wojna polsko-bolszewicka.

W drugiej połowie lat 1920-ch z kolei, kiedy to gospodarka polska zaczęła stawać na nogi, Wielki Kryzys lat 1929-1933, który w Polsce przedłużył się do 1935 r., zadał jej dotkliwy cios. W rezultacie tego, mimo późniejszego ożywienia gospodarczego, poziom produkcji w 1938 r. nie osiągnął poziomu ziem polskich pod zaborami z 1913 r., choć w międzyczasie przybyło 8 milionów obywateli.

Druga wojna światowa, jak wiadomo, przyniosła Polsce ogromne zniszczenia i gdyby nie Ziemia Odzyskana, to prawdopodobnie, biorąc pod uwagę "okresy błędów i wypaczeń" w powojennym rozwoju gospodarczym kraju, uzyskany w PRL poziom produkcji byłby o wiele niższy, niż to miało miejsce. W 1979 r., nie mówiąc już o spadku produkcji w 1957 r., wystąpiło natomiast za-

Przede wszystkim, Polska musi stworzyć taki model gospodarki, który reagowałby na preferencje rozwojowe władz państwowych, zwłaszcza mających wsparcie liczących się sił politycznych i większości narodu. Stan gospodarki musi też być dogłębnie rozeznany, dla przemysłanego, a nie wymuszonego chwilą zabierania się do przyspieszenia tempa rozwoju kraju.

Siłą rzeczy więc, w Polsce musi powstać bardzo silne "centrum koncepcyjne", które będzie wiedzieć czego chce i będzie mieć w swoim ręku instrumenty sterowania procesami gospodarczymi. Czy centrum takie będzie mieć indykatywne plany rozwoju, czy inne długofalowe i odcinkowe programy, ujęte w czytelną koncepcję rozwojową, zależy już od konkretnych uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych.

Puszczanie zaś gospodarki na "wolne wody" nie może mieć absolutnie miejsca, zwłaszcza w sytuacji utraty kontroli nad nią na rzecz ośrodków zewnętrznych.

Ale, nawet w sytuacji spełnienia powyższych warunków, rozwój gospodarki polskiej nie byłby jeszcze żadnym samograjem. Problemem bowiem jest wypracowanie odpowiedniej koncepcji rozwojowej.

Polska nie może sobie pozwolić na żaden harmonijny rozwój. Przeciwnie, rozwój musi być wysoce selektywny, chwytający za jedno ogniwo wodzące, które pociągnie całość do przodu. Dopiero potem można przechodzić na harmonijny rozwój, ciągnący wszystkie działy gospodarki do przodu.

Ogniwem takim musi być w Polsce eksport. Inwestowanie w tzw. produkcje proeksportowe, o krótkim okresie dojrzewania, mniej kapitałochłonne, jest najbardziej efektywne. Skoncentrowanie wysiłków na tym właśnie odcinku, jak to czyniła latami Korea Południowa, spowoduje przyspieszenie tempa rozwoju w stopniu o wiele większym, niż koncentrowanie się na innych dziedzinach gospodarki. Wydawanie na przykład miliardów, czy nawet dziesiątków miliardów dolarów na autostrady, jest w chwili obecnej bez-

cioloci utrzymać 10-procentowe tempo rozwoju, awansując tym samym do jedenastej potęgi gospodarczej świata. Produkcja na głowę mieszkańca w Korei Południowej przewyższa dziś polską ponad dwukrotnie, choć przed trzydziestu laty była 4-5-krotnie niższa. Sukces jest tym większy, że eksport, siła napędowa gospodarki południowo-koreańskiej, jest o wybitnie przemysłowym profilu, nasycenym "wysoką techniką", konkurencyjną w stosunku do największych potęg gospodarczo-handlowych świata.

Przechodząc do sytuacji w polskim handlu zagranicznym, która wykazuje utrwalanie się wysoce niekorzystnych tendencji, a konkretnie pogłębiającego się deficytu w bilansie handlowym, to "centrum koncepcyjne" musi zrobić dosłownie wszystko, żeby tendencje te odwrócić. W przeciwnym bowiem przypadku, Polska musi pożegnać się z nadziejami na awans do grona krajów rozwiniętych.

Ekspansja eksportu więc, nasyczonego "wysoką techniką", powinna urosnąć w Polsce do hamletowskiego "być albo nie być". Tym bardziej, że eksport nasycenony "wysoką techniką" nie stanowi dziś nawet 5 procent globalnego eksportu Polski, nie mówiąc już o tym, że jest on nierentowny, zjawisko ze wszech miar niepokojące.

W przypadku nie poradzenia sobie przez Polskę z "wyzwaniem eksportowym", będzie to tylko dowód, że podjęte reformy gospodarcze po 1989 r. są ogólnie chybione. Efekt końcowy tego będzie zaś taki, że gospodarka polska zacznie schodzić na relatywnie coraz niższe szczeble rozwoju, co w pewnym momencie może nawet doprowadzić do malejącej produkcji w ogóle.

Problem ten musi się więc znaleźć w centrum uwagi narodowo-państwowej tym bardziej, że Polska, starając się o pełne członkostwo w Unii Europejskiej, liczy na jej pomocną rękę. Tymczasem jednakże doświadczenia ostatnich lat wykazują, że nie tylko jej brak, ale jeszcze sięga ona coraz głębiej do polskiej kieszeni. Układ handlowy pomiędzy Polską a Unią z 16 grudnia 1991 r. bowiem,

cepcyjnych" na ten temat, a co dopiero mówić o przekuciu zamiarów w czyn. Poprawa konkurencyjności polskiego eksportu, pomijając już różne organizacyjne usprawnienia, to przede wszystkim przeprowadzenie na szeroką skalę modernizacji bazy wytwórczej kraju.

Ale jak tego dokonać w sytuacji zamierania w Polsce badań naukowo-technicznych? W chwili obecnej wydatki na ten cel równają się 0,9 procenta PKB, czyli są 2,5-krotnie niższe niż w czasach PRL, choć i wtedy były niedostateczne. Licząc na głowę mieszkańca, są one stanowczo za niskie w porównaniu do zachodu, a licząc w cyfrach bezwzględnych są one katastrofalnie za niskie, 25-krotnie niższe niż w Niemczech, 40-krotnie niż w Japonii i ponad 70-krotnie niż w USA. Również efektywność polskich wydatków na te badania jest nieporównywalnie niższa. Wydatki te, skromne przecież, są w znacznym stopniu marnowane. Istniejące ośrodki naukowo-badawcze, w ilości ok. 1 tysiąca, których działalność próbuje koordynować utworzona w 1995 r. rządowa Agencja Techniki i Technologii, zostały oderwane od przemysłu w rezultacie przemian zachodzących w strukturze organizacyjnej gospodarki. Wynik tego jest zaś taki, że ilość patentów w Polsce, zawsze niedostateczna, w ostatnich latach spadła z 4 do 2,5 tysiąca rocznie i nadal spada. Ba, istnieje obawa, że Polska wkrótce nie tylko nie będzie mieć żadnych osiągnięć na polu postępu naukowo-technicznego, ale nawet nie będzie w stanie wdrażać do produkcji obcej myśli technicznej ze względu na zacofanie pod tym względem.

Skąd wobec tego nadzieja, że przy słabnięciu i dalej słabnącej bazie naukowo-badawczej oraz starzejącej się bazie produkcyjnej, nigdy przecież nie stojącej na najwyższym poziomie, Polska "strzeli" raptem w najbliższych latach nowoczesnością produkcji i konkurencyjnością eksportu? Czy może dzieła tego dokona ponad 2,5 tysiąca wielkich przedsiębiorstw państwowych, żyjących z dotacji budżetowych, na które brak

produkcji w 1938 r. nie osiągnął poziomu ziem polskich pod zaborami z 1913 r., choć w międzyczasie przybyło 8 milionów obywateli.

Druga wojna światowa, jak wiadomo, przyniosła Polsce ogromne zniszczenia i gdyby nie Ziemia Odzyskana, to prawdopodobnie, biorąc pod uwagę "okresy błędów i wypaczeń" w powojennym rozwoju gospodarczym kraju, uzyskany w PRL poziom produkcji byłby o wiele niższy, niż to miało miejsce. W 1979 r., nie mówiąc już o spadku produkcji w 1957 r., wystąpiło natomiast załamanie się produkcji, które następnie zostało pogłębione wydarzeniami "Lata 80", "stanem wojennym", jak też "terapią szokową" Sachsa-Balcerowicza. Dopiero obecnie produkcja powróciła do stanu z 1978 r.

W kończącym się stuleciu zatem, gospodarka polska rozwijała się wysoce nie zadowalająco, tracąc szansę dołączenia do grona krajów rozwiniętych.

I jeśli teraz, w ciągu najbliższego pokolenia, gospodarka polska "nie zbierze się" i nie dokona skoku do przodu, to również następne stulecie może być stracone dla jej rozwoju. Nowe stulecie bowiem, ze względu na nasilającą się rewolucję naukowo-techniczną, może być dla "spóźnialskich" szczególnie niełaskawe.

Przed narodem i państwem polskim stoi więc zadanie szybkiego odrobienia odziedziczonych zaległości rozwojowych.

Czy wywiążą się one z tego zdania?

Naród, niestety, nie bardzo orientuje się w czym rzecz.

Władza z kolei, choćby ze względu na jej częste zmiany, łącznie z tymi wewnątrz rządzących koalicji, nie stoi na wysokości zadania.

Opozycyjne partie polityczne i ruchy masowe dla odmiany, nie rzadko skłócone między sobą, na ogół nie bardzo zdają sobie sprawę z dramatyzmu sytuacji.

A w ogóle, to władze państwa, bez względu kto sprawuje władzę, pozbawiły się wielu dźwigni bezpośredniego i pośredniego oddziaływania na procesy gospodarcze, co w konsekwencji doprowadziło do niesterowności gospodarki, dryfującej w nieznaną.

Cóż więc robić w istniejącej sytuacji?

chodzić na harmonijny rozwój, ciągnący wszystkie działy gospodarki do przodu.

Ogniem takim musi być w Polsce eksport. Inwestowanie w tzw. produkcje proeksportowe, o krótkim okresie dojrzewania, mniej kapitałochłonne, jest najbardziej efektywne. Skoncentrowanie wysiłków na tym właśnie odcinku, jak to czyniła latami Korea Południowa, spowoduje przyspieszenie tempa rozwoju w stopniu o wiele większym, niż koncentrowanie się na innych dziedzinach gospodarki. Wydawanie na przykład miliardów, czy nawet dziesiątków miliardów dolarów na autostrady, jest w chwili obecnej bezsensowne. Kiedyś przyjdzie na nie czas, ale na razie są inne i bardziej palące potrzeby.

Oczywiście, w sytuacji palących potrzeb społecznych, dawanie priorytetu eksportowi może spowodować niezadowolnienie, ale innego wyjścia nie ma.

Polska, z czego mało kto zdaje sobie sprawę, największe porażki ponosiła ostatnio właśnie na styku z gospodarką światową. W czasach przedwojennych i peerelowskich eksport polski stanowił 1 procent eksportu światowego. Dziś wynosi już tylko 0,4 procent.

Produkcja krajowa jest zatem w skali międzynarodowej niekonkurencyjna.

I nic dziwnego, skoro produkcja polskiego przemysłu elektromaszynowego jest tylko w 13 procentach na poziomie światowym, podczas gdy maleńkiej Danii aż w 65 procentach. Udział nowoczesnych artykułów chemicznych i farmaceutycznych w polskim eksporcie jest z kolei 10-krotnie niższy od eksportu tych artykułów przez Unię Europejską.

W sumie więc, niedorozwój eksportu polskiego, wynikający ze słabości bazy produkcyjnej kraju, ogranicza z kolei import, konieczny dla rozwoju kraju, jak też zwiększa zadłużenie zewnętrzne. W rezultacie tego utrwała się słabość bazy produkcyjnej, czyli powstaje "błędne koło" zacofania gospodarczego, które koniecznie trzeba przerwać.

Tak właśnie postąpiła Korea Południowa. Jeszcze w 1970 r. eksport PRL był ponad 4-krotnie wyższy od południowo-koreańskiego, ale w 1996 r. eksport polski był już od niego ponad 6-krotnie niższy!

Dzięki eksportowi właśnie, Korea Południowa mogła w ciągu niemal trzech dziesię-

ciole po 1945 r. są ogromnie chybione. Efekt końcowy tego będzie zaś taki, że gospodarka polska znacznie schodzić na relatywnie coraz niższe szczeble rozwoju, co w pewnym momencie może nawet doprowadzić do malejącej produkcji w ogóle.

Problem ten musi się więc znaleźć w centrum uwagi narodowo-państwowej tym bardziej, że Polska, starając się o pełne członkostwo w Unii Europejskiej, liczy na jej pomocną rękę. Tymczasem jednakże doświadczenia ostatnich lat wykazują, że nie tylko jej brak, ale jeszcze sięga ona coraz głębiej do polskiej kieszeni. Układ handlowy pomiędzy Polską a Unią z 16 grudnia 1991 r. bowiem, daje jak dotąd efekty odmienne od oczekiwanych. Jeśli tendencje te utrwałyby się po wejściu Polski do Unii, to po co jej takie członkostwo? Unia przecież, na którą przypada ponad dwie trzecie polskich obrotów handlowych, gwałtownie powiększa swój dodatni bilans handlowy z Polską, co świadczy o ciągłym zwiększaniu się jej przewagi konkurencyjnej nad słabszym partnerem.

Co więcej, ostatnie badania przeprowadzone w Polsce wykazują też, że unijna konkurencja handlowa podcina jej niektóre "obiecujące" przemysły, co pod nieobecność odwrócenia tej tendencji jest groźnym memento dla jej przyszłości. Unia, co warto podkreślić, zaczyna mieć nadwyżki w obrotach z Polską już niemal we wszystkich grupach towarowych, a tam gdzie jeszcze do tego nie doszło, nie jest przecież żadną pociechą, gdyż są to schyłkowe gałęzie produkcji.

W każdym razie, powodów do niepokoju jest coraz więcej i nie tylko na odcinku obrotów Polski z Unią Europejską, ale także z resztą świata. Eksport polski wyczerpuje bowiem swoje dotychczasowe rezerwy oparte o tradycyjne i niekonkurencyjne gałęzie produkcyjne, które z czasem ulegać będą albo całkowitej likwidacji, albo drastycznym ograniczeniom.

W związku z tym powstaje pytanie: - jak zaradzić tym niekorzystnym zjawiskom?

Ogólnie, wniosek nasuwa się taki, że trzeba szybko tworzyć nowe gałęzie produkcji, które radykalnie poprawiłyby konkurencyjność towarów polskich.

O które jednakże gałęzie tutaj chodzi?

Ano właśnie, w tym i rzecz. Jak dotąd bowiem nie ma żadnych "przymiarek kon-

wkrocie nie tylko nie będzie mieć żadnych osiągnięć na polu postępu naukowo-technicznego, ale nawet nie będzie w stanie wdrażać do produkcji obcej myśli technicznej ze względu na zacofanie pod tym względem.

Skąd wobec tego nadzieja, że przy słabnięciu i dalej słabnącej bazie naukowo-badawczej oraz starzejącej się bazie produkcyjnej, nigdy przecież nie stojącej na najwyższym poziomie, Polska "strzeli" raptem w najbliższych latach nowoczesnością produkcji i konkurencyjnością eksportu? Czy może dzieła tego dokona ponad 2,5 tysiąca wielkich przedsiębiorstw państwowych, żyjących z dotacji budżetowych, na które brak jest prywatnych nabywców? Albo górnictwo węglowe i kolejnictwo stojące w obliczu bankructwa? A może niewydajne rolnictwo?

Nadzieja zaś na to, że postępu za Polaków dokona kapitał obcy - jest bezpodstawna.

Reasumując rozważania na temat stanu narodu i państwa polskiego, a przecież poruszone powyżej problemy są daleko nie wszystkie, zmuszają one do wielu smutnych refleksji.

Samo bowiem nic się nie robi, albo nie tak, jak trzeba.

Żadnych zaś zgodnych działań narodu, czy też zarysów sprawnego państwa, które umiałoby mądrze pokierować losami Polski, również nie widać. Przeciwnie, siły polityczne ulegają coraz większej polaryzacji, co jest gwarancją dalszych podziałów w narodzie i degeneracją państwa.

A w dzisiejszych czasach słabe narody i państwa mogą być "rozdziobane przez kruki i wrony" niekoniecznie drogą wojen, zaborów, okupacji, fizycznej eksterminacji narodu czy likwidacji państwowości.

Polska, zepchnięta na margines, z każdym dniem stającą się coraz bardziej przedmiotem, a nie podmiotem w szybko zmieniającym się świecie, rozbita z czasem dzielnicowo na "euroregiony", czy im podobne twory, zarządzana z Moskwy lub Brukseli, skłócona wewnętrznie - przestanie się liczyć.

Czas więc najwyższy, żeby wszystkie siły polityczne w Polsce zdobyły się na chwilę refleksji i zdały sobie sprawę jak groźnie wygląda stan narodu i państwa polskiego.

Inaczej, Polak znów będzie mądry po szkodzie...